Nr. 23 Rok 2 Kraków, dnia 8 czerwca 1941. 40 gr.

Ilustrowany KURJER POLSKI



„NIE WIEM, CO ZE MNĄ WYPRAWIAJĄ, ALE JEŻELI NIE BOLI, TO JUŻ DOBRZE" — DZIWI SIĘ JERZYK

Fot. Borek









Opuszczony leży port Nauplion, z którego wojska angielskie posuwały się na Kretę. Liczne samochody ciężarowe wpadły nieuszkodzone w ręce niemieckie.

Fot. Ass. Press

Już w kilka minut po wyladowaniu pędzą strzelcy-motocykliści wzdłuż pasa nadbrzeżnego aby zabezpieczyć port i poszukać w terenie rozrzuconych oddziałów wojska.



Ponieważ większa część statków greckich stojących w zatoce została użyta przez Anglików do ucieczki lub też zatopiona, mogły wojska niemieckie użyć do przejścia zatoki korynckiej jedynie mniejszych kutrów rybackich. Statek zbliża się powoli do brzegu. Wszyscy oczekują go w napięciu.

Niemieckie wojska spadochronowe, wylądowawszy z powietrza, podjęły w międzyczasie walkę z angielskimi wojskami, i wzięły licznych jeńców — na lewo i u dołu. Po udałym wylądowaniu — na prawo: wyładowanie wojska i broni — został nawiązany kontakt ze spadochroniarzami niemieckimi i w dalszym ciągu odbywa się ściganie wojsk angielskich przez oddziały zmotoryzowane.



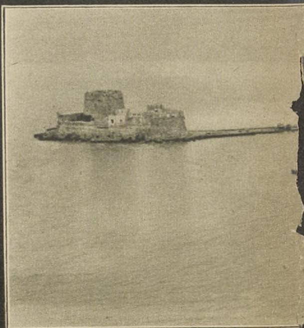




Atak i odwrót

Sprawozdanie o lądowaniu wojsk ni mieckich w Koryncie i o odwrocie wojsk angielskich z grecki go portu Nauplion

Oto jeden ze spalonych transportowców wojska, który miał przewieźć wojska angielskie na Kretę, w porcie Nauplion.





Niemiecki oddział szperaczy podczas patrolu przechodzi pod starogreckim łukiem w klasycznej Olimpii.



W PIEKLE KRETEŃSKIM!

Sprawozdanie żołnierza angielskiego, który uciekł z Krety



Silne eskadry samolotów burzących i bombowców lotnictwa niemieckiego przygotowały przez bombardowanie wyspy i ataki nurkowe na umocnienia angielskie atak spadochroniarzy na Kretę. Na naszym zdjęciu widzimy niemieckiego lotnika bombowcowego, który właśnie zatrzymał swoją maszynę po spadku.

Jeden z żołnierzy angielskich, który po ucieczce wojsk angielskich z Krety przybył do Aleksandrii, podał pewnemu amerykańskiemu dziennikarzowi następujący opis tej ucieczki: „Już we wczesnych godzinach rannych dnia 20 maja zostaliśmy zaatakowani przez niemieckie samoloty Stu-ka. Równocześnie w powietrzu pokazały się spadochrony. Powiększył się więc też ogień z karabinów maszynowych na bombowcach, lecący na dachy miasta jak grad. Komendant garnizonu angielskiego stojącego w tym mieście wydał rozkaz, aby miasto opuścić. Podzieliliśmy się więc na dwie grupy i pomaszerowaliśmy w stronę wybrzeża. Po drodze zostaliśmy znowu zaatakowani ogniem karabinowym i na wybrzeżu mogliśmy zauważyć jak samoloty transportowe leciały w stronę miasta. Było ich najpierw dziewięć, potem jeszcze dziewięć, a wszystkie leciały bardzo nisko, 10 do 15 metrów ponad powierzchnią morza. Kapitan Royal Engineers dał nam następnie rozkaz przeciwny, byśmy wrócili z powrotem do fortu, którego bronili jedynie Australijczycy. To się nam jednak nie udało, wystaraliśmy się więc o łódź, poszukaliśmy kilka rakiet świetlnych i zaopatrzyliśmy się w porcie w żywność. Gdybyśmy byli wrócili do fortu, byłby nas nieprzyjaciel na pewno otoczył. Z brzegu mogliśmy doskonale rozpoznać niemieckich spadochroniarzy. Przy opuszczaniu się strzelali Niemcy z pistoletów maszynowych. Otoczyli oni w rzeczy samej fort — jak to mogliśmy zauważyć — w którym bronili się jeszcze ciągle australijscy strzelcy karabinów maszynowych Brena.”



Fala za falą lądują z powietrza niemieckie oddziały wojskowe i spadochroniarze, ochraniani przez niemieckie samoloty bojowe.

Fot. Ass. Press
Weltbild
Atlantic











W zaciętych walkach Anglików i Greków na umocnionej przez nich wyspie został złamany przez niemieckie oddziały spadochronowe, które współdziałały z oddziałami lądującymi z powietrza, atakującymi z wielką odwagą wszędzie zaciekły opór przeciwnika i wzięto wielu jeńców.

Niemiecki żołnierz spadochronowy na straży w jednym z portów greckich! W głębi palący się okręt transportowy.

„Dernier cri" mody



Na wyścigach wiosennych w Paryżu w roku bieżącym lansowany był ten oto kostium. Najoryginalniejszy jest tutaj parasol, oczywiście damski.



Na prawo: Stany Zjednoczone ubierają się po chińsku. Oto strój ogrodowy w kolorze turkusowym w stylu chińskim. Nam się to nie podoba.



Natomiast ten strój, który można było widzieć także na wyścigach wiosennych w Paryżu, jest nadzwyczaj elegancki, począwszy od kapelusza a skończywszy na bucikach i na klamrze spinającej pelerynę.

Fot. Atlantic (2)
Ass. Press (1)

OSPA i TYFUS PLAMISTY



Aby zabezpieczyć dzieci przeciw epidemii ospy szczepi się niemowlęta już w pierwszym roku życia. Zapobieganie chorobie przez szczepienie jest i tutaj pierwszą obroną przeciw epidemii, którą się dławi w zarodku, by nie mogła w ogóle wybuchnąć.

Fot. Borek

Kiedyż bardziej grożą epidemie jak nie w czasie wojny? Zmniejszona odporność fizyczna ludności wskutek gorszego odżywienia, gorsze warunki mieszkaniowe, powodujące równocześnie zmniejszoną możność utrzymania czystości, to wszystko przyczynia się do powstawania ognisk tej okropnej choroby. Oczywiście, że przede wszystkim władze, ale również społeczeństwo samo, powołane są do przeciwdziałania chorobie. Należy sobie zdać sprawę z jednej rzeczy: pomoc w czasie epidemii należy już tylko do lekarzy, ale uchronić się przed nią mogą sami zainteresowani. Nie należy też lekceważyć sobie tej sprawy, bo wszelkie wysiłki czyni się nie dla kogoś, ale dla samego siebie i dla swoich najbliższych.

Z czegoż powstaje tyfus plamisty? Rozsadnikami tego są przede wszystkim wszy, te złośliwe, małe insekty, o które dzisiaj tak łatwo we wszystkich zbiorowiskach ludzkich, gdzie nie brak ludzi biednych, niedostatecznie dbających o higienę i czystość. Czystość więc powinna być nakazem dla każdego człowieka. Nie potrzeba higieny komfortowej, wystarczy nawet prymitywna kąpiel w balii, wystarczy trzepanie pościeli, dywanów czy innych przedmiotów, w których gromadzi się kurz i brud, a przede wszystkim ubrań, aby zadość uczynić tym prymitywnym wymaganiom. Niechaj więc nikt nie tłumaczy się niemożnością, tylko w swoim kółku, na własnym gospodarstwie stosuje ściśle przepisy higieny, a w najgorszym razie w wypadku zachorzenia zawezwie natychmiast lekarza, który jako jedyny powołany jest do ratowania chorego. Żadne środki t. zw. domowe nie mogą tutaj wchodzić w rachubę: choroba jest poważna i należy ją zwalczać energicznie. Jakkolwiek w Generalnym Gubernatorstwie choroba ta występuje stosunkowo rzadko, to jednak jako zaraźliwa może zagrażać dotychczas zdrowym terenom.

ŚWIĘTE MIASTO KSAR

W skalistych górach Rifu stanowiącego część Atlasu Niskiego, leży schowane i niedostępne dla niewiernych, Ksar, święte miasto Rifenów zwanych także Kabylami a wyznających religię Mahometa. Historia jego jest stara i właściwie tonie w mrokach mitologii berberyjskiej. Gdyż stare, dziś napół rozpadłe grodzisko, wznoszące się pomiędzy pochylonymi ku ziemi chatami było już świadkiem powstawania starożytnych potęg światowych a także i ich upadku. Już u Fenicjan słyszymy o tym niedostępnym bastionie wojowniczego i skorego do obrony szczepu Berberów, który w niedostępnych górach miał najlepsze mury i najlepszego sprzymierzeńca. Babilończycy, Sumeryjczycy, Egipcjanie, Grecy i Kartagińczycy łamali sobie na tych upartych ludach zęby. Jakkolwiek w swoich podróżach odkrywczych po krajach leżących dokoła M. Śródziemnego przedostawali się nieraz także i do Rifu, jakkolwiek czynili próby podbicia tych szczepów, prowadząc handel nimi, nigdy nie udało się nikomu usadowić się tam na stałe. Nawet Rzymianom, najwytrwalszym kolonizatorom starożytności nie udało się nigdy dotrzeć do samego wnętrza.

Początek tego miasta datuje się od czasów zwycięskiego pochodu islamizmu po przez całą Północną Afrykę aż do Hiszpanii. Oddalone od wybrzeża o więcej niż 100 km, położone w połaci górskiej najbardziej niedostępnej i ubogiej w wodę, zamknięte wśród piętrzących się skał, zdawało się jakoby stworzone na to, by pozostać po wszystkie czasy miejscem świętym dla pobożnych Mahometan. Kiedy w kilka set lat później na skutek reakcji wszczętej przez Hiszpanię nacisk islamizmu na Europę zmalał, i kiedy po zaciętych walkach Portugalczycy zdobyli Tetuan, „miasto z bajki", obroniło się jedynie święte miasto Ksar, stając się ogniskiem odrodzenia się duchowego islamu.

Dzisiaj Ksar jakkolwiek nie straciło nic na swym znaczeniu, obudziło się jakoby ze snu stuletniego. Pomiędzy ciasne mury miasta wcisnęły się zdobycze cywilizacji jak elektryczność i kina, jakkolwiek do r. 1920, kiedy to Hiszpanie wtargnęli do miasta, historia stała ciągle jeszcze w miejscu i żaden Europejczyk nie przedostał się Ksar, nie postradawszy przy tym życia.

Fot. Tschira



Wytworny mieszkaniec Ksaru. Poznać po wyrazie twarzy, że nadała mu go przynależność do starej rasy i starej kultury.



Tubylcy jako żołnierze hiszpańscy. Ci strażnicy w górach Rifu chodzą w stroju na pół europejskim, na pół afrykańskim.

Wśród tych wysokich prawie na 2000 m gór Rifu wiedzie autostrada do Ksaru. Na zdjęciu widzimy sławny Dżebel Maja, gdzie według podania pochowana jest jedna z córek Noego.



Pastuch stada kóz ma dużo kłopotu z utrzymaniem upartych zwierząt w gromadzie. Rzuconym kamieniem przywołuje najbardziej upartego kozła do porządku.



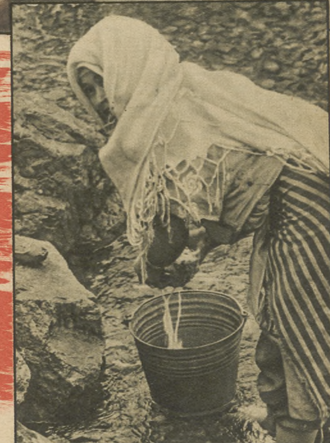
W ciasnej kotlinie stoją zduszone jedne na drugim domy Ksaru. Ukośne dachy są czymś rzadko spotykanym w Marokku, są tu jednak konieczne ze względu na ilość opadów.

Oto młodzi Rifenowie obserwujący życie ulicy w malowniczych strojach marokańskich i w europejskich koszulach.

Jednakże nowoczesnej broni, lotnictwu, bombom gazowym, czołgom itd., nie mogło to miasto stawiać długo oporu. Po długich zaciętych walkach Abd el Krima z Hiszpanami i Francuzami, został opór Rifenów doszczętnie złamany i miasto stało się miastem kolonialnym.

Dzisiaj prowadzi do świętego miasta wygodna autostrada z Tetuanu. Samochody nie mogą jednak wjechać do miasta, gdyż jest to niemożliwe z powodu wąskich uliczek.

Rifenowie oglądają każdego Europejczyka ze zdziwieniem połączonym z nieufnością. Kobiety, jak spłoszone gazele zmykają przed obcymi i znikają w ciasnych uliczkach i ciasnych domach. A już za żadne skarby nie pozwoliłyby się sfotografować. Nie dlatego, żeby się bały lub uważały się za niegodne stanąć przed obiektywem. Jest to spowodowane raczej nastawieniem religijnym, wiemy bowiem, że religia mahometańska zabrania przedstawiać człowieka w obrazach. Prawie wszystkie kobiety noszą nieprzejrzyste zasłony, jedynie najmłodsza generacja wstępuje w ślady swych siostrzyc z nad wybrzeży, które europeizują się w tempie iście amerykańskim. Daleko dostępniejsi natomiast są mężczyźni, o ile znowu nie są tak pogrążeni w dyskusjach, że w ogóle o Bożym świecie nie wiedzą. Na każdym kroku można wtedy poznać, że to miasteczko jest właśnie punktem zbornym duchowej elity jakiegoś szczepu o starej kulturze, dalekiego od wszelkich interesów i zgiełku europejskiego. Mimo, że życie nowoczesne wtargnęło i tam pod pewnymi względami, pozostaje Ksar nadal tym świętym miastem, którym było już przed wiekami.



Przy praniu bielizny zdybał tę Rifenkę fotograf. Odsłoniła ona tutaj twarz, co jest rzadkością.



Na bazarze w miasteczku chleb sprzedaje się na bruku. Jak widzimy na zdjęciu jest malowniczość stroju bardzo wielka. W głębi jakaś piękność marokańska zasłania się parasolem „by nie opalić sobie cery".



Mistrz dusz

Napisał
Gjuro Vilović

2 ciąg dalszy

Autoryzowany przekład z chorwackiego W. Podmajerskiego

Staruszek nie ma ni w jednym programie, ni w jednym rachunku. One nie są aktorami ni w jednym dramacie. Odstawione są w kąt jak stołki, którym odpadły dwie nogi.

Pragną czegoś, jakiegoś przeskoku, jakiegoś opium.

Gdy słyszą dzwon, wspominają sobie ten sam dzwon, który dzwonił w młode, bujne dnie. Fale dźwięków z wiejskiej dzwonnicy zamierają teraz, jak zamierały i dawno temu w dali nad morzem. Utula je kościelny zapach woskowych świec, które to płoną jak uczucie młodości, to tlą się jak smutek pogrzebowej pieśni i szept pogrzebowego korowodu. Im śpiewają poranne dzwony, bo tylko one ich oczekują, dla nich rozlega się szept porannej mszy, bo tylko one go słuchają... Jest to ten sam dzwon, co im śpiewał jamby wieczornych angelusów, gdy wchodziły w noce młode, dojrzałe i zadyszane. Ta sama to kościelna pieśń, którą śpiewały jako dziewczątka u boku matek, dawno rozpadłych w proch i za pomnianych nieboszczek... Te same to organy, co grały w ową niedzielę, gdy po kresie dziewczyństwa przyszły do kościoła jako młode mężatki.

Wszystko to jest takie samo. Jedynie wśród tego wszystkiego one nie są jeszcze tymi, które odstawiono w kąt jak stołek z wypadłymi dwoma nogami...

One szukają i znajdują świadków, że niegdyś były ważne i pożądane.

Szukają tego ostatniego tańca żywych kobiet.

Proboszcz oderwał się zwolna od kościelnej bramy. Cicho przystąpił do grupy staruszek:

— Ja wczas wstaję. Nie będziecie na mnie długo czekać w kościele.

Staruszki pootwierały usta i uśmiechnęły się bezzębnymi szczękami:

— Już my zaczekamy na księdza proboszcza. Młody potrzebuje snu, a my stare...

— Ja wczas wstaję.

— Przez nas?

— Tak, przez was. Was jest więcej, a ja sam.

— Nie, nie...

— Będę wstawać, bo milej mi w kościele, gdy mi świecą woskowe świece, niż gdy słońce...

— E... e...

— Przed słońcem będziecie w domu, — rzekł stanowczo i pozostawił Ivajanę na miejscu, aby wszystko przetrzęsły, wybadały i aby się upewniły, że dobrze słyszały.

— Człowiek Boży, co powiedział?

— Że przed słońcem będziemy w domu.

— E... e... e... — zakołysał się chór zgarbionych.

Przed słońcem znajdą się w swoich starych izbach i wnosić w nie będą na chwilę w dzwonie, kościele i porannej mszy odnalezione siebie: młode, pogodne i szczęśliwe.

W pierwszych smugach słonecznego światła uśmiechać się będą do siebie:

— Gdym była młoda...

— W naszej młodości...

— Wtedy było...

Nawracać będą dawno zagasłe światła, dawno zaszłe słońca, dawno znikłe poświaty księżyca, dawno przekwitłe symfonie młodych wiosen, młodych piersi i żar niegdyś bystrych oczu. Nawet w południe nie ścichną, lecz ciągle wzbierać będą nowe wspomnienia i napełniać będą dom i życie w domu. Żyć będą przemocą, bo one będą mówić, mówić...

O zmroku zaczną się obawiać nocy i mówić będą, by odegnać strach.

Przez cały dzień mówić będą o nim, który im swoim wczesnym wstaniem, dzwonem, kościołem i mszą wszystko to odnowił, wywołał wspomnienia.

— Człowiek Boży.

— Dobra dusza.

— Anioł z nieba.

Wieś wierzy, że Ivajana swoimi rannymi modlitwami przebłaguje niebo, prosi o urodzaj, o zdrowie dzieci i błogosławieństwo dnia.

Ostanie misja i powołanie.

Ostatnia współpraca dla życia.

— One z proboszczem! — wierzy wieś.

Zachwycać się będą przez cały dzień i przez cały dzień jąkać będą o swym współpracowniku. Będzie im bliski, uważać go będą za swego i szeptać mu będą ostatnie słodkie słowa zachwytu:

— Człowiek Boży!

— O święte usta, o święte słowa!...

Proboszcz dawno już przeszedł dziedziniec kościelny, przestrzeń przed plebanią i znikł za twardymi dębowymi drzwiami plebanii, a na kościelnym dziedzińcu została jeszcze cała Kataluca i Ivajana.

Obie grupy rozmawiały z sobą o nim.

Obie grupy zachwycały się nim.

— Przy nas tylko się zatrzymał. Z nami tylko rozmawiał.

— Człowiek Boży.

— Święte oko.

GŁOS Z POPRZEDNIEJ PARAFII

„Odszedłeś, Loro, odszedłeś, jak człowiek interesu, który zapłacił rachunek i wziął pokwitowanie. Otrzymałeś moją obietnicę, ze cię zapomnę. Gdyby to było możliwe i takie łatwe, jak się to mówi: zapomnę o Tobie...

Wiję się i oto się śmieję!

Śmieję się jak szalona i dla siebie i dla Ciebie. W rzeczywistości ja dla siebie spazmatycznie i niepocieszenie płaczę, a dla Ciebie się śmieję.

Obiecałam... Obiecałam Ci, że zapomnę o Tobie i robię to każdego dnia i każdej chwili w ciągu dnia. Staram się zapomnieć o Tobie.

Czy wiesz, ile dotychczas, z całą wolą i z całym staraniem by Cię zapomnieć, zapomniałam w rzeczywistości o Tobie?

Czy Ty to wiesz, Loro?

Ja Cię już nie ściskam, lecz targam Cię paznokciami i rwę Ci żywe ciało i gorącą jeszcze krew podnoszę do nosa; pachnie mi upojniej niż zapach jakiegokolwiek kwiatu, niż jakakolwiek cząstka przyrody, mocniej niż jakakolwiek perfuma, produkt fabrykanta... Twoja ciepła krew, Loro!

Nie słyszę Cię więcej, Twój głos jest dla mnie niemy, lecz huczniej grzmi niż piorun, niż grzmot fal. Huczy mi w dzień i w noc.

Obiecałam, że zapomnę o Tobie, bo mnie zapewniłeś, że wymaga tego ode mnie miłość i ludzkość.

Zapewniałeś mnie, Loro i wziąłeś moją obietnicę.

Starałam się nawet, by odwrócić i bynajmniej nawet nie pragnąć zapomnieć o Tobie.

Znów to samo...

Obietnica moja to szaleństwo, ale pójdę tą drogą, aby się nie starać zapomnieć o Tobie, lecz wytrwale i bezustanku będę myśleć o Tobie, myśleć dopóty, aż dojdę do tego, że jesteś straszny jak tygrys, samolubny jak świnia...

Może to naturalniejsza i krótsza droga niż usiłowanie zapomnienia o Tobie.

A czy może być, byś Ty był straszny jak tygrys, byś był samolubny jak to zwierzę, które wymieniłam?

Próbować będę jednego i drugiego... Dotrzymuję swojej obietnicy.

Maja.

Tak opiewał list.

— Co wolisz, — szepnął cierpko i potargał list na drobne, drobniutkie strzępy i rzucił je na wiatr. Wiatr wiosenny wciągnął w siebie te drobniutkie kwałeczki i w wirze poniósł je szybko w dal. Kawałeczki papieru ulatywały daleko, coraz dalej. Przetworzyły się w punkciki, które kołysały się prosto w nicość.

Znikło wszystko. Przed człowiekiem pozostała pusta, przejrzysta przestrzeń. Ni jednego punkciku już nie było.

— Tak, ze wszystkiego — nic! — przywołał się do opamiętania. W pełni świadomości roześmiał się:

— Czyż ze wszystkiego? Uczynię wszystko, aby wszystko znikło...

Postanowił, że zagłębi się w pracę, w wieś, w siebie. Odda się życiu, by go smagało i aby wysmagało ją z niego.

— Chcę, aby nie było niczego.

Wszedł w poranny kościół, pełen jąkania Katalucy:

— Jezusie mój drogi, jedyny.

W kościele była i Ivajana i inne kobiety. Ivajana obracała liczne różańce, a obracanie to szeleściło, jakby się przesypywały szkielety. Wśród tego mełła Ivajana bezzębnymi dziąsłami i suchym językiem...

Inne kobiety stały niemo i patrzyły w niego.

AGATY

Don Lovro sumował: nowa parafia jest taka sama jak i poprzednie. Święto w tej wsi takie jak i w innych. Kataluca tutaj taka sama jakimi i gdzieindziej są te wieczne dziewice. Ivajana też taka, jak i chór staruszek we wszystkich wsiach.

— A jednak?

Poczuł, że ciągle jeszcze na dnie wszystkiego jest nieco lęku przed tą wsią.

— Vito, jak ci się zdaje? — spytał kucharza po kolacji.

Garbaty człowiek stanął i uśmiechnął się:

— Dobrze.

— Jak to dobrze? Z czego wnioskujesz, że dobrze? Dlaczego dobrze?

— A, dobrze... Ja wiem, że jest dobrze.

— Pocieszasz mnie?

— Wieś lubi małpę. Żeby ksiądz proboszcz widział, ile się wsi zebrało koło Didiego. Patrzą na niego, śmieją się do niego, cieszą się. Mój Didi jest już popularny, a i ksiądz proboszcz też... mówił mi dzwonnik.

— Co mówił dzwonnik?

— Spodobał się ludziom ksiądz proboszcz. Ślicznie śpiewa, a mówi!... Coś takiego jeszcze nie słyszeli.

— Kto to mówił dzwonnikowi? Mężczyźni, czy kobiety?

— Wszędzie najpierw mówią kobiety, a mężczyźni powtórzą to za jakiś czas.

— Vito, jesteś złośliwy.

— Vito jest wesoły, wesoły. Wie Vito, jak jeżdżą wozy po wsiach.

— I okręty po południowych morzach. — zakończył proboszcz i dał znak, że skończył rozmowę na ten temat.

Vito zapędził się wynieść resztki wieczerzy, lecz zatrzymał się w ruchu.

— Przepraszam... — szepnął.

Proboszcz podniósł głowę i spojrzał nań pytająco.

— Dzwonnik powiedział mi jeszcze...

— ?

— Jeszcze tylko żeby kobiety się przekonały, że ksiądz proboszcz ładnie spowiada.

Bez słowa dał znak ręką, by wyszedł.

To ostatnie, co powiedział Vito, nie było żadną nowością. Nagarnęły się już do spowiednicy Kataluca i Ivajana, a przyszły też i inne.

Codziennie rano, wczas rano, oznajmiał dzwon z dzwonnicy, że proboszcz wchodzi do kościoła. Długo w nim pozostawał. Dzisiaj długo czekał Vito na niego przed wejściem na plebanię i zabawiał się małpą.

— Didi, jeszcze jeden orzech.

Didi się nie ruszył. Senny i syty rozwalił się na słońcu i z zadowoleniem kąpał się w jego promieniach. Nie zwracał uwagi ni na Vita, ni na jego wołanie. Vito wołał na niego, by się ożywił, by się rozbawił.

— Didi, może jabłko, co?

Małpie dobrze było na słońcu, więc drzemała z rozkoszy. Spojrzał i Vito na słońce i zadziwił się, jak to już wysoko odskoczyło od sinych, nagich i posępnych skał, z poza których wzeszło dużo później, niż proboszcz wszedł do kościoła.

— Gadzie jeden, jesteś teraz syty, więc nic nie dbasz ni o mnie, ni o księdza proboszcza. Ja nie taki jak ty. Żal mi księdza proboszcza, którego tak głodnego męczą kobiety. Dużo kobiet. Uh, ile się ich to nasypało dziś rano do kościoła! Niektóre i tutaj zaglądnęły. Dobre kobiety! Widzę, Didi, że będzie nam tutaj dobrze... A co ty myślisz?

Didi oczywiście nic nie myślał. Cóżby małpa myślała? Dziś rano rzeczywiście dużo kobiet przyszło do kościoła. Najpierw przyszły Ivajany, wszystkie Kataluce. Przyszły i inne. Niektóre z tych innych przyniosły Didiemu orzechów i jabłek. Zatrzymały się przed małpą. Długo patrzyły, długo wypytywały.

Kobiety chciały dowiedzieć się różności o proboszczu, o Didim i o Vicie.

— Kupiliście ją od Italiana?

— Nie, kupiłem ją w Ameryce, — objaśniał Vito, a potem opowiadał o swojej młodości spędzonej nad morzem, o okręcie, na którym zjechał wszystkie morza, o burzach, o tajfunach, które nim miotały po pokładach jak wicher suchym liściem po wiejskiej drodze, a od czego zgarbaciał i odtąd jest kucharzem. Znały go wszystkie morza i wszystkie okręty brały go za kucharza, lecz on wybrał posadę u księdza proboszcza, bo ksiądz proboszcz jest dobry, piękny i uczciwy człowiek. Pozwolił mu wziąć ze sobą Didiego.

Vito opowiadał kobietom same dziwne rzeczy o południowych morzach.

Kobiety odchodziły zachwycone, aby dalej opowiadać opowieść Vita.

Z najwyższym zachwyceniem oczekiwał garbus na proboszcza, żeby mu pokazać kupę orzechów i stertę jabłek, a ponieważ nie było go długo widać, rzecze znowu do zaspanej szczęśliwej małpy:

— Będzie nam to dobrze, Didi, jak nigdzie. To bogaci ludzie. Ileż oni dopiero muszą mieć tych orzechów i jabłek, kiedy w pierwszych dniach tyle nam tego naniesli?

Kobiety wychodziły z kościoła i zatrzymywały się na kościelnym dziedzińcu w małych grupach. Rozmawiały coś między sobą, a potem rozchodziły się, by opowiadać po wsi, jak spowiada nowy proboszcz.

Po zachowaniu się ich, po ruchach, poznał Vito, że są zadowolone.

Nie słyszał nic, lecz owo typowo kobiece przykładanie rąk do piersi mówiło otwarcie o podziwie.

— Didi, będzie nam dobrze. Coraz lepiej! — reagował, przyglądając się kobietom na dziedzińcu kościelnym.

Didi rozwalił się rozkosznie na słońcu i kąpał się z zadowoleniem w jego promieniach.

— Didi, syty gadzie, mrugnij przynajmniej okiem!

Nawet nie mrugnął.

— Kiedy się to dzisiaj skończy? — męczył się Vito. Dłużył mu się poranek, a męczyła go nowość, o której ciągle jeszcze nie miał sposobności donieść proboszczowi.

— Tyle orzechów i jabłek...

Wreszcie pozostawił szczęśliwą małpę i poszedł przed kościół, aby zobaczyć, ile jeszcze kobiet w nim się znajduje. Koło spowiednicy stało ich jeszcze kilka. Staruszki były ostatnie.

— Co to dziś takiego? — spytał Vito Mrka.
— Mordują biedaka.
— Co mówią?
— Kto?
— One?
— Kto tam stoi o to, co one mówią. Kto tam pyta, co one myślą? — śmiał się dzwonnik. — One są utrapieniem wsi i każdego proboszcza. Jeśli je rozwydrzy, to przepadł człowiek. Będzie ich codziennie tyle. Staruchy są stare, to nie mogą pracować, a tamte drugie nie mają mężów, to nie mają i dzieci, więc również także nie mają co robić. Dzień i noc klęczałoby to przed spowiednicą. Byłoby właśnie dobrze, gdybyście powiedzieli księdzu proboszczowi, żeby ich nie rozwydrzał.
— Dobrze. Powiem mu. A co mówią, zadowolone są?
— Hm! Te są zadowolone z każdego, kto je tylko chce słuchać. Co do mnie, to wolałbym tłuc kamienie, niż słuchać te baby.
Wreszcie przyszedł i proboszcz.
Vito pokazał mu jabłka i orzechy. — To pierwszy dar!
— Kto przyniósł?
— Kobiety.
— Co im powiedziałeś?
— Bóg zapłać, Didi będzie miał co jeść.
Proboszcz zamyślił się chwilę.
— Vito, spraw książkę, wielką książkę. Zapisuj w niej każdy dar i notuj wszystko, co ludzie przyniosą.
— Idea! — krzyknął Vito.
Proboszcz szerzej otworzył oczy i pytająco spojrzał na kucharza.
— Sprawię jak największą księgę. Taką wielką, z jaką malują Pana Boga, który zapisuje wszystkie dobre i złe uczynki ludzi. Świetna idea!
— O jakiej idei mówisz?
— No, już ja rozumiem: gdy ludzie, gdy kobiety zobaczą księgę, wszystkie będą chciały, żeby były do niej wpisane. Będzie roboty!... — Śmiał się z zadowolenia Vito. Naraz urwał i poważnie zapytał Don Lovra:
— A co napisać na książce?
— Jakto: na książce?
— Na okładce. Na przykład: KSIĘGA ŻYCIA?
— Nie.
— KSIĘGA MIŁOŚCI?
— Głupio.
— DOBROCZYŃCY PARAFII WNIEBOWZIĘCIA N. M. P.?
— Niezbyt dokładne.
— Coś musi być. Coś takiego... Krótki a wielki napis, żeby go było widać i łatwo było zapamiętać.
— Napisz więc: Mały dar, a wielka zasługa.
— Za długie.
— Napisz w trzech linia... — Don Lovro nakreślił ołówkiem na kawałku papieru te trzy rządki:

MAŁY DAR
A
WIELKA ZASŁUGA

Gdy był gotów, podał niemo ten papierek Vitowi, a potem zapatrzył się w niego długim pytającym spojrzeniem:
— Co mówią?
— Nie rozmawiałem z kobietami.
— A z Mrkiem?
— Mrko powiedział, że kobiety są zadowolone.
Następne rana i dnie były podobne do dzisiejszego. W swoich izbach, gdzie spędzały bezsenne noce, doczekiwały staruszki porannego dzwonu i prędko przerywała się męka ich starczej bezsenności.
Kataluca i Ivajana śpieszyły pustymi wiejskimi drogami do kościoła, klęczały przed dębową spowiednicą i zawsze czuły się podniesione, zadowolone i szczęśliwe...
Drżącym szeptem trzęsła Kataluca miedzianą blaszką z Ihtisem* w spowiednicy: mówiła i słuchała o boskim oblubieńcu i jęczała mu w jakimś dziwnym, substytuowanym, lecz i szczerym zachwycie:
— Jezu drogi, słodki, jedyny...?
Nigdy im dość tych rozmów o nim, któremu jedynemu bez czyjegokolwiek protestu, a z przyzwoleniem tak pięknego i ważnego mężczyzny poza Ihtisem, mogą to powiedzieć. Ten człowiek zamiast niego przyjmował, odpowiadał, obiecywał, a był piękny, taki piękny, jakiego wieś nigdy nie widziała, a tym mniej jeszcze kiedykolwiek wydała. Mogły przysunąć do niego brzydkie, zniekształcone twarze tak blisko, że od jego pięknej twarzy dzieliła je tylko cieńka miedziana blaszka, na której dziurkami wypisany był Ihtis.
Przez dziurki Ihtisa przedzierał się jego głos jak fale muzyki, ciepła i intymności.
Emanowała czysta świeżość jego porannej umytej młodości.
Intymny szept młodego, pachnącego mężczyzny, ostrożnie i delikatnie je dotykał, oblewał, podnosił. Mówił Katalucy o niej samej. Razem z nią kopał i grzebał po jej uczuciach, głuchych tęsknotach, nocnych snach, co przychodziły niewołane, a z upragnieniem witane.
— Jezu, drogi, słodki, jedyny! — wzdychała przed Ihtisem Kataluca.
Kataluca poczuła mężczyznę za miedzianą blaszką bliskim, swoim i reagowała na wszystko, co jej się wydawało, że jest mu przeciwne. Siłą wyposzczonej uczuciowości żądała, aby go wszyscy lubili i dobrze o nim mówili. Czasem mówiły mu z szeptem i z bólem:
— Znienawidziłam wiele razy. Wiem, że to kochanemu Jezusowi nie jest miłe, ale nie mogę znieść, gdy nasi mężczyzni zaczną wygadywać:
— A jaki ten nowy proboszcz, co?
— Dobry — ja im powiadam.
— Dobry? Każda nowa miotła... Nam się nie podoba: jak on się tylko sztafiruje i stroi...
— Coby się miał stroić? Stroi go młodość i Bóg!
— Daj spokój, już my się na tym znamy.
— To jakiś skryty chytrek.
— To nie dobrze, że ma kucharza. Któż ich będzie obsługiwał?
— A któżby, jak nie wiejskie kobiety?
I tak mówią, a ja ich wtedy nienawidzę, nienawidzę. Ja ich wtedy tak strasznie nienawidzę, żebym ich pościnała, oczy im wyłupiła i dzieci im pozarzynała.

* Ihtis = Jezus.

— Jakżebym nie miała ich nienawidzieć? Wtedy, gdy na plebanii była kobieta, to rozmaitości gadali, a teraz, gdy nie ma kobiety na plebanii, to też im się nie podoba.
Tak opowiadają rzędem to, co je złościło i gniewało, co wzbudzało ich nienawiść.
Ivajane opowiadały mu o swoich drobnych, wyjałowionych myślach i uczuciach bezsennych nocy. Oskarżały się o wspomnienia o tamtych nocach, które przespały głębokim snem po burzy i zmęczeniu. Zdawało im się, że są to grzeszne myśli na ich stare głowy, więc oskarżały się o nie. Oskarżała się Ivajana, że z zawiścią patrzy na tych, co przeszli ponad nią wraz z życiem i ze wsią.
Iva i Jana mogły długo i szczegółowo rozsnuwać przed Ihtisem to, czego nie mogły powiedzieć nigdzie indziej, gdyż nikt nie słuchałby ich i skarconoby je za takie myśli i gadania.
Proboszcz słuchał wszystkiego uważnie i poważnie reagował. Odpowiadał, tłómaczył. Wiele aprobował, a wiele uznawał za ważne, bardzo ważne.
I tak Ivajana przed Ihtisem była ważna. Jeszcze jedynie tu, jeszcze jedynie tutaj notowano i ważono jej myśli i jej uczucia. Ten, który jej słuchał i który jej przyznawał ważność, był najmądrzejszym i najważniejszym człowiekiem we wsi.
— Człowiek Boży?
— Oko Boże.
Dwie warstwy kobiet wnosiły go codziennie w wieś, analizowały go szczegółowo i dokładnie. Wnosiły go w ten sposób w życie tych innych, którym śpiewały domy, śpiewała wieś.
— Cudnie opowiada.
— Gdy mówi, to jakby głaskał po sercu.
— Taki łagodny i dobry.
— Wszystko mu można powiedzieć jak sobie samej.
— Na nic się nie gniewa. Wszystko słucha i na wszystko odpowiada...
Kataluca i Ivajana pracowały niezmordowanie. Po drogach, po rozstajach, po domach, u źródeł i po polach kapało jakby kropla po kropli. Kapało i drążyło:

Poeta

W tym, że śpiewam, dużo winy jest rodziców,
lecz najwięcej — ziemi, chmur.
Ojcze, pocoś mnie wywołał, wyczuł!
I ty, matko — czemuś mnie rzuciła
niby ślepa, bezlitosna siła
pod ten niebem wstrząsający chór.

Teraz śpiewam. Najmniej winy mojej.
Usta tłumcie, a nie marny flet.
Tylem winien, że przyglądam się, że stoję,
że przechodzę się — przechodzień — wolnym krokiem
z chmur porannych w chmury zmierzchu, w sny głębokie,
aby zasnąć — w noc wkopany kret.

Przeznaczenie, los — czy jak zechcecie,
ale życie nie wesołe, to fakt.
Tak się włóczyć jak Don Kichot po świecie,
rezonować na ból obcy, pieśń nie swoją,
żyć dreszczami, piorunami, niepokojem
— z nędzy ludzkiej oszalały ptak?

A do tego wasz śmiech i szyderstwa,
Że poeta, że furiat, że leń.
Dla żebraka kromka chleba czerstwa,
ale dla mnie nawet cienia pod lipami,
co was strzegą porażonych snami
— dla mnie może w wieczności cień.

Lecz że dni są jednakowe dla wszystkich,
gdy od wschodu noc przeorze złoty pług,
i ponieważ nie objadam waszej miski,
żon wam płodnych nie czaruję, przeto
już nie straszcie własnych dzieci mną — poetą,
który spłaca urojenia dług.

A że śpiewam? — I wiatr przecież śpiewa
i las śpiewa i noc śpiewa ciszą,
gdy się gwiazdy jak lampiony rozkołyszą
i wiosłują cieniami drzewa.
Wam niech będzie ciepło od żoninych,
a mnie tylko nieba szmat.
Kiedy zgasnę, w ziemię padnę siny,
to powiecie:
— a no, łaził po tym niebie, to i spadł. —

H. H.

— Cudny jest.
— Dobry jest.
— Święty jest.
— Nasz jest.
Codziennie prócz Katalucy i Ivajany zjawiało się rano w kościele i po kilka nowych, pięknych kobiecych twarzy. I one też przytykały twarze ku Ihtisowi.
Nie było to dla niego niespodzianką. Nie było niespodzianką nawet to, że słyszał, jak fale powietrza z ich ust przebijały dziurki wygniecionego Ihtisa: drżąco, niespokojnie i stłumione. Oczekiwał tego wszystkiego.
Pracował i nie ustawał.
Pracował nawet i wtedy, gdy na koniu przelatywał wiejskimi drogami, trzymając się na siodle jak promienny rycerz. Czuł, że wyglądają go i odprowadzają setki oczu, a on wymykał się im ciemny, dumny i wielki... Przelatywał przez wieś świeży, pogodny i młody. Młodość stwarzała w nim świadomość siły. Wnosił w wieś młodość i piękność. Na krągłych twarzach, z twardo napiętymi mięśniami paliła się miedź, blask i krzepkość. W koło niego oddźwaniały po udeptanej ziemi kroki energii i dumy. Towarzyszył mu wonny wietrzyk, który o nim opowiadał jeszcze długo po jego przejeździe.
Ciągnął je za sobą.
— In odorem unguentorum tuorum currimus, adulescentulae dilexerunt te nimis (bieżymy za wonnościami twymi, dziewice umiłowały cię bardzo).
Biegły za nim te, którymi powoduje uczucie, te, które niespokojnie, ale wytrwale i śmiało szukają, gdzieby złożyć swe wezbrane serce...
Widział je, jak wstydliwie i niespokojnie oczekują po kątach, aby po Katalucy i Ivajanie opuścić się na kolana przed nim w spowiednicy i aby poprzez Ihtisa odlać nieco z tego, co po brzegi w nich wezbrało.
Już w pierwszych dniach pojawiły się na głównym ołtarzu kiście kwiatów wczesnej wiejskiej wiosny. Jednego ranka zauważył między małymi kiściami ogromny bukiet pierwszych róż i wczesnych, nadmorskich goździków. Wydawały ostry zapach i przyciągały jego uwagę. W zapachu tym nie było nic niewinnego.
Ze środka ołtarza bił ten zapach hucznie, rozkosznie, rozpasanie. Zapach zawierał w sobie żywy kawał wiosny, pełen opłodności i rozrostu. Igrał otwartym, żywym pląsem w pełnym kontraście z niemymi drewnianymi świętymi, co nie mieli źrenic i których usta były kamiennie stwardniałe.
Światło woskowych świec padało po kwiatach i było drobniutkie, biedne i śmierdziało...
— Skąd to wzięło? — spytał jakby przypadkowo dzwonnika Mrka.
— Ten wielki bukiet może?
— Tak.
— Przyniosła go Agata.
— Kto to jest Agata?
— Żona bogatego Matića.
— Wiem teraz z tego tyle, co i przedtem.
— Jeszcze ksiądz proboszcz nie zna Matića?
— Nie. Kto to jest?
— Daj, Boże, żeby go ksiądz proboszcz nie poznał i ze złego. Nie jest to dobry człowiek. Poprzednicy księdza proboszcza wszyscy go dobrze znali — mówił Mrko ciężko i widocznie z bólem. — Jest to przewódca wsi w walce z proboszczami. Mądry jest i bogaty. Ma wielu przyjaciół w mieście, a umie też i sam trafić do biskupa. Dlatego go też i wszyscy słuchają. Co on powie, to wieś spełnia. Agata jest jego żoną, ale cóż ona może? Cóż może żona, gdy mąż ma swoją głowę i robi co on chce.
Don Lovro gotów już był powiedzieć: — Dobrze, usuńcie ten bukiet z ołtarza — lecz rozmyślił się i nic nie powiedział. Nazajutrz odprawiał mszę przy bocznym ołtarzu.
Następnego rana i na bocznym ołtarzu był jeszcze większy bukiet róż i goździków. Jak gdyby się Agata usadowiła w kwiatach i patrzy z nich na niego swymi nieznanymi, pożądliwymi oczyma. Proboszczowi zdawało się, że go ona prześladuje kwiatami i z kwiatów. Jak gdyby chciała, aby on zauważył te kwiaty...
— Która też to?
Po mszy wchodził do spowiednicy i słuchał komunikatów w cztery oczy.
Między nimi jest i Agata, ale która to z nich?
Wiedział, że po Katalucy i Ivajanie przyjdzie przed niego ta wiejska kobieta, która jest młoda, lecz niezadowolona młodością, piękna, lecz bez dostatecznego uznania, ciepła, lecz nie na tyle pożądana, aby zagrzewać.
Wchodził w rozmowy w cztery oczy z wiejską pięknością, od której mąż bierze swoje gotowe sądy, zapatrywania i przekonania. Rozmawiał z tą, która dobrodusznie słucha, pokornie rozkazuje i zawsze narzeka, że jest upośledzona, podczas gdy błogo i spokojnie rozkoszuje się, że wodzi męża jak pokornego wołka na powrozie.
Przychodziły młode mężatki, niezadowolone miłośnice, tyrańskie żony ze skromnymi gestami.
Przyszła ta bez wiejskiego zbiorowego imienia, przynosząc indywidualną głowę i bujne ciało.
Każda miała szept swoich oczu i swoich ust.
Przychodziły kolejno, jak je pociągała jego osobistość.
Widziały go w niedziele i święta, jak młody, rozśpiewany, w złocie i brokacie porusza się na wzniesieniu przed ołtarzem. Słuchały go, gdy mówił i czuły, że przenika w ich piersi.
Patrzyły w jego oczy. Przysięgałyby, że nieraz zatrzymały się one na ich twarzach i kibiciach. Przysięgałyby, że on zauważył, jakie białe piękności pokrywają ich łachy i jak żywoty ich podrygiwają i drżą pod falami jego metalicznego głosu. Widziały go, jak przejechał ich dróżką i przemknął przed ich dachem, jak bohater jakiejś jasnej i czarownej baśni.
Nocami śniły o nim, a za dnia w każdym calu otaczającej je przestrzeni drgała jego postać i szeptały do nich jego wielkie oczy.
Spał obok nich, oddychał obok nich, zwłaszcza gdy je zrywała rzeczywista istność ich męża, utulonego, głęboko uśpionego, który chrapał, nie wiedząc i nie przeczuwając nawet, że w tej samej chwili żona jego dosłuchuje się oddechu pięknego mężczyzny z pobliża starej, surowej dzwonnicy.
Chrapanie zmordowanych, spoconych, głęboko uśpionych i konkretnych mężczyzn tak często przywoływało żony do rzeczywistości, rozczarowania...
On był w zastępstwie. On był ściskany i przypuszczany zastępczo. Był mentalnym, idealnym kochankiem setek kobiet w jedną noc.

Dalszy ciąg nastąpi

Błogosławieństwo ziemi

STAATLICHE LANDBAUSCHULE
PAŃSTW. WYŻSZA SZKOŁA ROLNICZA

Zdjęcia w terenie instrumentem mierniczym.

Wychowankowie wyruszają na naukę praktyczną w pole.

Orka nie jest rzeczą wcale tak łatwą jak się wydaje.

SZKOŁA ROLNICZA W CZERNICHOWIE

Szkoła Rolnicza w Czernichowie została założona jeszcze w r. 1860, a miała za zadanie kształcenie młodzieży na rządców i administratorów mniejszych przedsiębiorstw rolniczych. Do roku 1939 ukończyło tę szkołę około 2400 absolwentów. Podczas działań wojennych i jakiś czas po ich ukończeniu była szkoła nieczynna. Potem jednak powołano na nowo kierownictwo i nauczycieli i nauka się zaczęła. Na podstawie niemieckiego urzędowego upoważnienia, po przeprowadzeniu zapisów w dniu 15. października 1940, została szkoła na nowo otwarta. Utrzymywana ona jest z dotacyj państwowych.

Obok kierownika szkoły udziela nauki w tej szkole 8 stałych nauczycieli, 2 nauczycieli kontraktowych, 2 instruktorów i 5 niższych funkcjonariuszów. Poza tym w zakładzie urzęduje także weterynarz. W chwili obecnej znajduje się w szkole 129 uczniów z całego Generalnego Gubernatorstwa. Przyjęcie do szkoły uwarunkowane jest ukończeniem 4 klas gimnazjalnych nowego typu i jednoroczną praktyką w rolnictwie. Nauka trwa dwa lata, w którym to czasie ucz-



Dr. Kraus, weterynarz Instytutu, przeprowadza zabiegi weterynaryjne przy wzdęciu krowy.



Praktyczna nauka pielęgnacji i karmienia drobiu.



Uczniowie dowiadują się, co to jest pokrój bydła i uczą się poznawać mleczność krów.



Sadzenie ziemniaków przez uczniów.



Nauka korespondencji bardzo się przyda przyszłym administratorom.

niowie otrzymują całkowite teoretyczne i praktyczne wykształcenie.

Program nauki obejmuje miernictwo, hodowlę bydła, naukę chemii, korespondencję, nasiennictwo i stolarstwo.

Wychowankowie mieszkają w internacie mieszczącym 14 sal i otrzymują tam całkowite utrzymanie.

Inż. Kaz. Kuczyński.

CEL SZKOŁY: PODNIESIENIE ROLNICTWA

Szkoła nabiera specjalnego znaczenia w obliczu tej nowej struktury gospodarczej Generalnego Gubernatorstwa.

A jakie możliwości można wydobyć przez racjonalniejszą gospodarkę, można poznać choćby z tego, że na skutek przedsięwziętych ulepszeń można otrzymać z 1 ha 280 kwintali buraków cukrowych, gdy przedtem otrzymywało się tylko 200 q. Przy zbożach podniesie się produkcja o najmniej 4 q, co daje ogólnie 1.4 mil. ton więcej, przy ziemniakach co najmniej o 30 q więcej z hektara, co daje w sumie ok. 3 mil. ton więcej.

Także w gospodarce inwentarzem i w hodowli bydła można uzyskać o wiele lepsze niż poprzednio wyniki. W chwili obecnej dostarcza krowa przeciętnie 1400 kg mleka rocznie. Przez ulepszenie hodowli można wynik ten podnieść na 2200 kg. W ten sposób podniesie się też i produkcja masła z 50000 ton na 100000 ton. Wyniki otrzymane dotąd pozwalają mieć pewność, że te zamierzone plany podniesienia produkcji są zupełnie możliwe. Już dzisiaj wykazuje statystyka, że wyniki na wielkich gospodarstwach rolnych podniosły się o 60% w stosunku do gospodarstw mniejszych. Gdyż wszystkie gospodarstwa ponad 50 ha podlegają nadzorowi Urzędu Zagospodarowania, który służy we wszelkich kwestiach radą i pomocą. Ale i małe gospodarstwa mają się przyczynić do podniesienia gospodarki. Dlatego powinni stać wszędzie dzielni pracownicy, którzy przy zastosowaniu wszystkich dostępnych środków osiągną możliwie jak najlepsze wyniki. Szkoła rolnicza jest tutaj tym pośrednikiem, który dostarcza nie tylko koniecznych wiadomości, lecz daje równocześnie wykształcenie we wszystkich dziedzinach związanych z ziemią, tak w teorii jak i w praktyce. Obszerny bowiem program nauk uzupełnia praktyka na należącym do Szkoły gospodarstwie rolnym, obejmującym 25 ha ziemi, lasu, wiklin i stawu rybnego włącznie.

Inżynier Kuczyński pokazuje uczniom jak się oznacza kwasy i zasady. Fot. Sorek

Poglądowa nauka nastawiania siewnika do siewu.





„TEN ŁOBUZ MAJ"

TEATR-REWIA „NOWOŚCI"

„Manola", miły obrazek hiszpański z nieodzowną tawerną ma znowu dobrą obsadę taneczną — Dymiszkiewicz, Woliński, Maciaszczyk — powinni oni jednak mocniej tupać, aby zagłuszyć piszczącą „śpiewaczkę", która by nawet głuchego wyprowadziła z równowagi. To dobre na wsi na nieszporach, ale nie, na miły Bóg, w teatrze rewiowym, gdzie poza tym trzeba jako tako wyglądać i ruszać się.

Dobrym nabytkiem jest urocza Irena Grywiczówna: ładna, zgrabna i mile śpiewająca. Wśród przydzielonych jej „amantów na domowy użytek" wygląda jak lilia na śmietnisku.

Pan Starski okazał się stuprocentowym tenorem w skeczach, będąc żywą ilustracją znanego przysłowia.

W ogóle skecze nieciekawe, ratują je wykonawcy, jak zwykle niezawodni: Skonieczny, Mroziński i Szubert.

Typowo rewiowe dekoracje Lipskiego.

Konferansjerka p. Zdzitowieckiego, kulturalna i dowcipna — o niebo przewyższa „konkurencje" w innych teatrzykach.

„MOMUS" — „GRUNT TO HUMOR" Właśnie po ostatnim programie „Momusa" pisałem, że wyrabia sobie ten kabaret publiczność, że skupiając najwybitniejsze siły artystyczne, stale kroczy naprzód.

Miast spodziewanego crescendo, lwi skok... w tył. Nie pomoże jedna solówka p. Chmurkowskiej, Mrozińskiego, dobry, jak zwykle balet Ostrowskiego ani miłe i urodziwe siostry Burskie (jeden z nielicznych zespołów śpiewaczych na który, oprócz słuchania, można spojrzeć, bez narażenia się na szok nerwowy) — z całego prymitywnego programu zieje beznadziejna nuda.

Miejmy nadzieję, że doraźny skutek w postaci zmniejszenia frekwencji, wpłynie na dyrekcję w sensie doboru zespołu, co dotąd było mniej więcej praktykowane.

„TOMBOLA" — „SŁOŃCE NA URLOPIE" „Wesoła Banda" po wewnętrznej i zewnętrznej reorganizacji przywdziała na siebie nową nazwę „Tomboli" i ruszyła do ataku.

Sukces zupełny i rzetelnie zasłużony.

Wysoką klasę humoru reprezentuje Walter i Jaworski, śpiewu: najlepsza chyba obecnie gwiazda operetkowa w całym znaczeniu tego słowa, to znaczy nie przyszywana z opery, z całym balastem ciężkości i sztuczności manier operowych — pięknie śpiewająca p. Mary Gabrielli i jej sympatyczny partner p. Łuczak: pierwszorzędny duet Sobołtówna-Wojnar, z których każde oddzielnie jest jeszcze przy tym dobrym aktorem. Skecze mają obsadę „autentycznych aktorów" z pp. Wieczorkowską i Kierczyńskim na czele co przy współudziale Waltera, Jaworskiego i Peteckiego gwarantuje poziom wykonania.

CZESŁAW PUDŁOWSKI

Czesław Skonieczny w jednym ze skeczów rewii „Ten łobuz Maj."



Balet „Diabelskie skrzypce": tańczą — niezrównana Stanisława Selmówna i Tadeusz Woliński. Fot. Zajączkowski

Przyjemna jest ta nowa rewia najlepszego teatru rewiowego Warszawy: lekka, wdzięczna i bezpretensjonalna.

Już samo nazwisko długo nieoglądanej Ziuty Buczyńskiej gwarantuje niecodzienne emocje i wystarcza za reklamę.

Oba jej numery „Ogrodniczka holenderska" a zwłaszcza prześliczne „Na słowiańską nutę" raz jeszcze potwierdzają jej ogromne sukcesy zagraniczne. Tak jakoś dziwnie się składa, że znowu od tańca zacząłem pisać recenzję, chcąc pisać „dobrze". No trudno — idziemy więc dalej!

Poza panią Buczyńską, która jest doskonałą sprezentował pan Ostrowski trzy balety — wszystkie bardzo udane.

Najlepszy — o tytule trochę „ni przypiął, ni wypiął" — „Diabelskie skrzypce" (diabeł był, ale skrzypiec ani mru-mru") odtańczyli tak, jak tylko oni umieją: pięknie, kunsztownie i finezyjnie — Stanisława Selmówna i Tadeusz Woliński.

Pełną czaru jest „Puszta", gdzie primabaleryna Selmówna i Ostrowski, zbierając burzę oklasków, z ogniem zatańczyli czardasza. Urok tej scenki podnosi jeszcze solowa gra na skrzypcach Myszkowskiego, taniec zdolnej tancerki Dymiszkiewicz oraz śpiew Poredy, który jednak nie może nadążyć za zawrotnym tempem orkiestry w finale obrazu. Bardzo mu „leżą" za to w jego typie i głosie piosenki neapolitańskie.

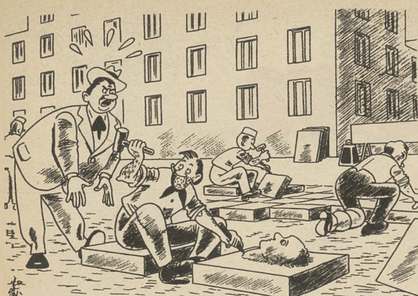
UWAGA! FOTOAMATORZY!



W dzisiejszym naszym kąciku musimy poruszyć znowu kilka spraw, które nasunęły się w ciągu naszej korespondencji z naszymi fotoamatorami. Przede wszystkim otrzymujemy teraz dużo lepsze zdjęcia. Czasem tylko zdarzy się, że ktoś przypomni sobie, że ma tam gdzieś w albumie zdjęcie, które akurat nadawałoby się do kącika dla fotoamatorów. Na postrach! na postrach! bo przecież nie do zamieszczenia! Dalej — nadsyłają nam fotoamatorzy błony czyli tzw. „negatywy". Otóż musimy zaznaczyć, że negatywów nie przyjmujemy. Co się tyczy zdjęć zamieszczonych — to stają się one własnością redakcji, gdyż redakcja za nie przecież zapłaciła. Żądanie więc zwrotu jest bezcelowe. Na tym dzisiaj kończymy nasze uwagi.

Pierwsze z umieszczonych zdjęć fotoamatorskich jest niezłe, ale miałoby jeszcze więcej wartości, gdyby ten fornal nie był „ustawił się do aparatu". Wykonał je p. Szwakop Tadeusz z Rozwadowa apar. Agfa Isoletta czas 1 50 sek., przy dobrym słońcu. Drugie zdjęcie ciekawe jest ze względu na temat ale i ogólnie wziąwszy, jest ono zupełnie dobre. Wykonał je p. H. Łosiński z Radzymina.





„Ile razy mówiłem ci, że przy takiej robocie należy wszelką ambicję odsunąć na bok. Tutaj nie potrzebujesz się wybijać.“

(dis. di Verdini)

*

TRAFIŁ W SEDNO

Na początku stycznia przechadzał się jakiś doktór po cmentarzu. Szedł on od grobu do grobu i odczytywał napisy na nagrobkach. Na murze cmentarnym siedział jakiś łobuz. Widząc doktora oglądającego tak dokładnie wszystkie nagrobki zawołał: „Panie doktorze, czy pan doktór robi inwenturę“?



„Słyszałeś co ono powiedziało? Chce pojechać do Hiszpanii na walki byków“.

(Saturday Evening Post, Ameryka)

*

CZY PIJANY?

Kufelek wraca późno do domu. Zataczając się wchodzi do sypialni. Nagle żona siada na łóżku.

— Antoś? Gdzieś się włóczył do tej pory?

— Kochanie, uspokój się. Jest dopiero pierwsza godzina...

W tej samej chwili zegar wydzwania godzinę trzecią.

— Jakto pierwsza? — przecież słyszysz, e bije trzy razy — mówi żona.

— Ten zegar jest chyba pijany. Trzy razy powtarza jedno i to samo.



„Hallo, Olaf, przestań wreszcie spać!“.

(Söndagsnisse-Strix, Szwecja)

*

TO PŁATKI I TO PŁATKI

— Miałam wczoraj pecha! Wyobraź sobie, wzięłam wczoraj zamiast płatków owsianych, płatki mydlane, zrobiłam z nich budyń i mój mąż zjadł go.

— No i co?

— Po prostu pienił się ze złości.

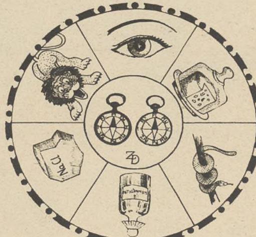


POLITYK

— Wiesz, Jasio kupił swojej żonie na imieniny całe urządzenie z aluminium.

— A to spryciarz, teraz gdy żona czymś w niego rzuci, to nawet nie poczuje.

*



„Panie posterunkowy, ten pan mnie prześladuje!“

(dis di Attalo)



Noc poślubna u cyrkowców: „Jeżeli my się teraz tak zachowujemy, to co właściwie jutro pokażemy publiczności“?.

(Marc Aurelio, Włochy)

*

OPŁACIŁO SIĘ

— No wygrałem panu tę sprawę o 75 złotych.

— Ile się panu mecenasowi należy za prowadzenie sprawy?

— Sto złotych.

*

TROSKLIWA

— Choroba mojego męża tak mnie niepokoi, że muszę na niego dzień i noc uważać.

— Jakto, przecież wzięła pani do niego pielęgniarkę.

— Właśnie dlatego muszę uważać.

*

ACH, TO DLATEGO!

On: — Dlaczego wydałaś tyle pieniędzy, Leno?

Ona: — Odkryłam tanie źródło zakupu, Karolu.

Rozrywki umysłowe

ELIMINATKA RYSUNKOWA

ul. „Dzidka"

Objaśnienie: Odgadnąć 6 trzyliterowych wyrazów, następnie skreślić z nich litery wchodzące w skład klucza, którym jest rysunek środkowy, pozostałe litery dadzą rozwiązanie.

*

SZARADA

Ul. K.

Pierwszą drugą i pół trzeciej,
Często latem łapią dzieci.
Drugą jest zaimek znany,
Bardzo często używany.
Weźmiesz czwartą i pół trzeciej,
Znajdziesz ją wśród miar na świecie.
Zaś przeciwnie trzecie czwarte.
Gdy nadobne — wiele warte.
Trzecią-drugą określamy,
Pas, co miały dawne pany.
Całość to choroba zła,
Owca, krowa, koń ją zna.

*

ZADANIE DO ROZŁOŻENIA

H

Hanka przerobiła sobie kamizelkę włóczkową. Na kamizelce chciałaby wyhaftować sobie swój inicjał. Aby ten był barwny podzieliła Hanka inicjał dwiema kreskami na osiem pól. Jak ona to zrobiła? Rozwiązanie za pomocą rysunku.

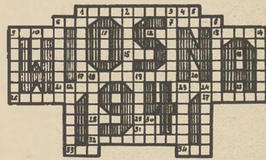
KRZYŻÓWKA „WIOSNA 1941“

Ul. Z. A. z N. Sącza.

Znaczenie wyrazów:

Poziomo: 1 — słownik uniwersalny, zawierający wyrazy w wielu jęz. 6 — piwo ang. 7 — dodatek, uzupełnienie 9 — war, wrzątek. 12 — rzeka w Niemczech. 13 — taniec. 15 — wada oka. — 17 — cukier gronowy. — 21 jarmark. 23 — żelazo hart. 26 — arystokrata. 27 — skrót podpisu. 28 — trunek. 29 — nuta. 31. — dwie litery słowa „len“ 32 — dowcipny utwór literacki. 33 — papuga. 34 — pole uprawne — (wspak).

Pionowo: 1 — bryła geom. 2 — silny środek wybuch. 3 — łotr, niegodziwiec. 4 — zaimek. 5 — litera fonet. (wspak). 6 — odstępca, odszczepieniec. 8 — pieczęć. 9 — mundur inaczej. 10 — skorupiak. 11 — rzadki metal. 14 — karczma, oberża we Włoszech. 86 — znak chem. 18 — metropolita w kościele grec. 19 — lista, wykaz 20 — „i“ w jęz. mart. 22 — zanik. 23 — szeroka suknia rosyjska 24 — uczeń Chrystusa. 25 — bóstwo egipskie. 30 — pytajnik.



ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 19.

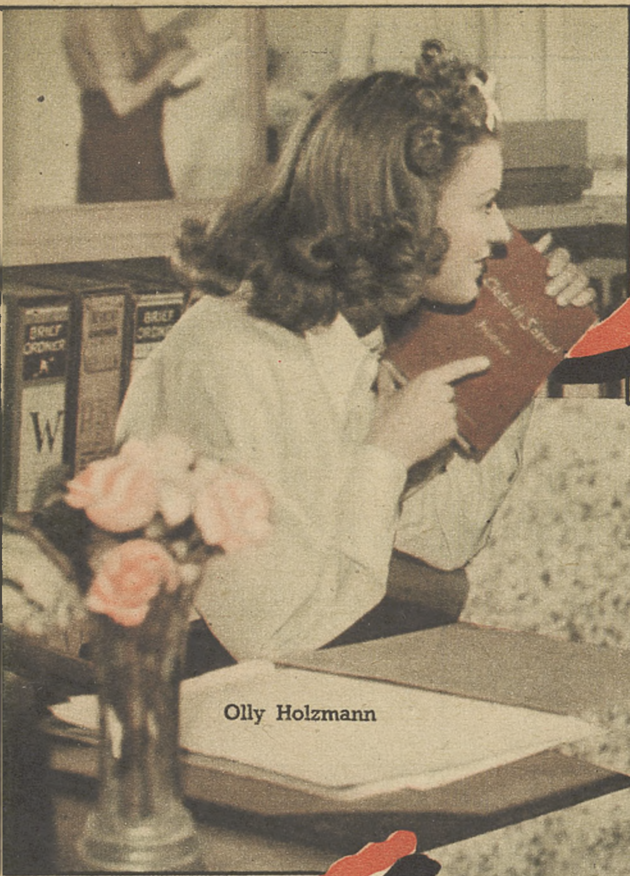
Wyścigi dokoła piramidy: Szeik powiedział do wielbłądników: Niech każdy z was dosiądzie wielbłąda drugiego.

KRZYŻÓWKA

Poziomo: mania, lamus, oda, krowa, pa, kanon, (r, u), eros, ogarek, lasso, alt, koran, estr, zoil, tea, habit, k-y, re, et, topaz, próg, bar, wo, ro, aromat, ruszt, rak, akt, par, akcja, retor, rumor, zenit.

Pionowo: mustang, amoniak, lew, om, alkohol, kos, amortyzator, protektorat, nostalgia, ar, era, egzekutor, tal, ale, ochmistrz, karafka, sport, akr, taboret, Ewa, tor, poker, ara, osa, ser, rum.

Siedem lat nieszczęścia



Olly Holzmann



Clara Tabody



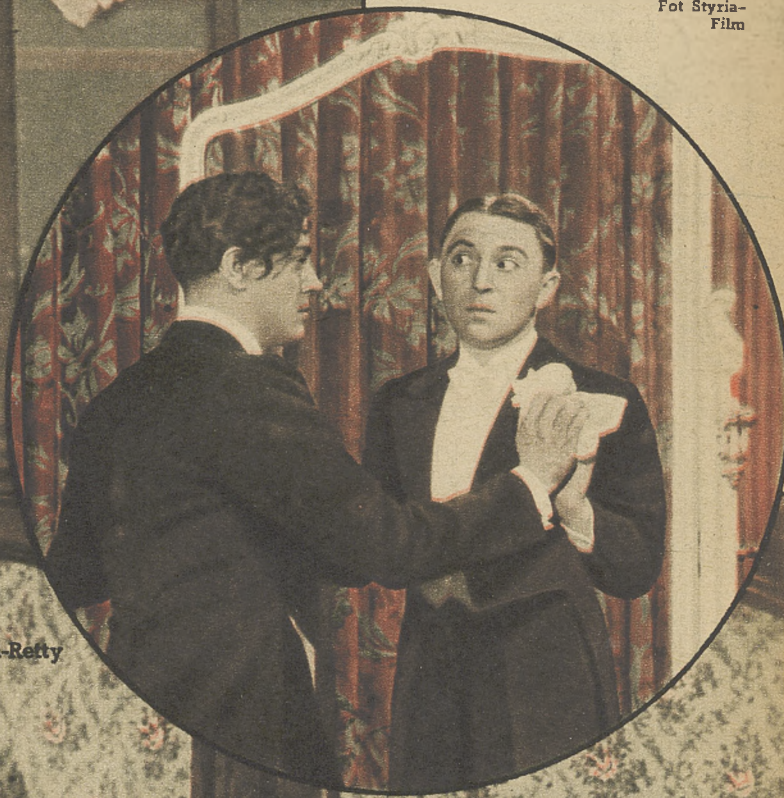
Theo Lingen

Film „7 lat nieszczęścia" pełen jest komicznych nieporozumień, śmiesznych sytuacyj, które do łez pobudzają widza. Do łez ze śmiechu. Punktem wyjścia dla fabuły tego filmu stał się przesąd o siedmiu latach nieszczęścia w wypadku gdy zbije się lustro. Tak też myśli młody powieściopisarz Heinz Kersten (Wolf Albach-Retty), który prześladowany przez los przypomniał sobie, że przed sześciu laty i jedenastu miesiącami zbił lustro. Lustro zbił jednak nie on, lecz jego służący Paweł, który właściwie winien jest wielu innym sprawom. A także i tej, że ukochana Kerstena, Gertie — Olly Holzmann — ma zamiar poślubić kogo innego, żeby się zemścić na Kerstenie za jego rzekomą zdradę, której dopuszcza się w zastępstwie pana jego służący. Sprawa jest zdawałoby się całkiem pogrzebana, ale służący Paweł chcąc nadrobić zło, które się stało na skutek jego zbytniej gorliwości doprowadza do tego, że Gertie będąc już w urzędzie stanu cywilnego nie chce powiedzieć „tak".

W rolach głównych występują Moser jako dr. Teisinger, ojciec Gertie, Ida Wüst jako jego żona, Theo Lingen jako sprawca wszystkich nieszczęść — służący Paweł, Wolf Albach-Retty jako jego pan i inni mniejsi artyści.

Komedię warto zobaczyć.

Fot Styria-Film



Wolf Albaah-Retty

Ida Wüst